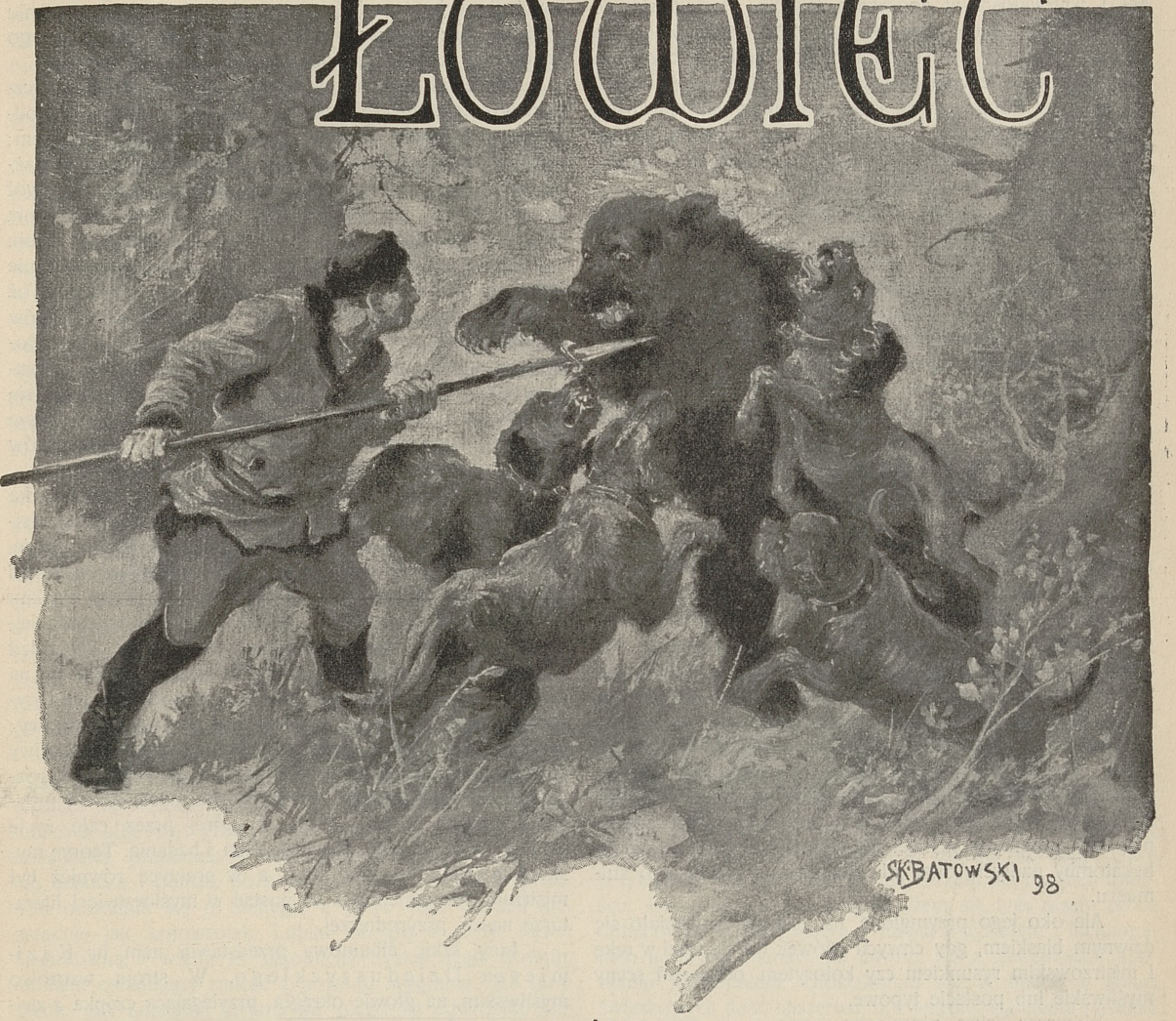
Nr. 10. Lwów, 16. maja 1905. Rok XXVIII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Akwarele myśliwskie*)

Karta wspomnień z lat ubiegłych

napisał

JÓZEF ŁOZIŃSKI.

Znakomity nasz akwarelista Franciszek Tepa, powróciwszy z podróży na Wschód, którą odbył jako towarzysz hr. Adama Potockiego, pozostał w kraju i zjednał sobie w nim rozgłos i szerokie wzięcie. Jak Maurycy Mann pozostawił cenną pamiątkę tej podróży wschodniej w wiernym i nauczającym, lubo nie nader barwnym opisie, tak też utalentowany artysta złożył swoje wrażenia wschodnie w całym cyklu prawdziwie artystycznych szkiców, zdobiących zbiory sztuki hrabiów Potockich w Krakowie. Umiał on nadto żywem i barwnem słowem określać uroczą przyrodę wschodu, opowiadać przygody i wrażenia. Rok pobytu tamże uczynił z niego prawie beduina; oblicze miał oliwkowe, postać nader szczupłą, jakby je skwary puszczy nubijskiej ubarwiły i wysuszyły. Żywa i wrażliwa fantazya, a przytem spokojne i łagodne usposobienie, bez gwałtownych rzutów ciała i duszy, jak to zwykle bywa u artystów, czyniły go miłym i pożądanym towarzyszem, szczególnie w domach wysokich rodów. Pociągano go wszędzie, nawet tam, dokąd go jego wrodzone usposobienie nie wiodło. Z natury łagodny i giętkiego ducha nie objawiał nigdy mężkiej rycerskości, nie oddawał się też zajęciom wyma-

*) Praca ta napisaną była jeszcze w roku 1888. Młodszym czytelnikom i przyjaciołom Łowca przypominamy, że ś. p. Józef Łoziński, był pierwszym redaktorem naszego pisma, które prowadził przez lat dziesięć. Wspomnienia te dotąd nie drukowane a udzielone nam, przez rodzinę śp. Józefa Łozińskiego, mimo upływu czasu nie straciły znaczenia i miłe będą zwłaszcza dla tych myśliwych, którzy nie tylko z rozgłośnej sławy znają łowy poturzyckie.

gającym sprężystości i zręczności ciała, objawu siły fizycznej i wytrwałości w znoszeniu trudów. Pociągnięto go jednak i do takich zapasów rycerskich, zniewolono do wzięcia udziału w wielkich łowach, jakie się corocznie odbywały w rozległych borach hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w Poturzycy, na które z niemałą skwapliwością ściągali się nemrodzi wyższego ducha, nietylko całego kraju, ale nawet cudzoziemcy, których doszła wówczas już zasłużona sława poturzyckich łowów.

Pociągano na nie rozgłośnego artystę w celu upamiętnienia tych łowów w wybornych szkicach, chwytanych z całą prawdą z natury, lubo w nich przebijało się indywidualne usposobienie artysty, dosyć apatyczne wobec majestatycznych uroków przyrody, nie przystępne dla wrażeń gwałtownie wstrząsających duszę i wyobraźnię, nie biorącą rzutnego i chętnego udziału w różnobarwnych i zmiennych fazach myśliwskiego życia. Twory jego pod tym względem nie podobne do illustracyi życia myśliwskiego Juliusza Kossaka, który ciałem i duchem był jemu oddany, i który umiał też nadać mu tyle ruchu, życia, barwnego kolorytu, światła i cieni, jakich prawda i znaczenie tego zawodu wymagają.

Lubo już ćwierć wieku ubiegło, żywo w mej pamięci rysuje się postać artysty, jak duch zaklęty posuwająca się w kniejach borów Poturzyckich; postać okryta długą burką, z wysokim kapturem na głowie, z zmarzniętym sterczącym wąsikiem, leniwie krocząca za ochoczą drużyną myśliwską, tęsknie wyczekująca oznaczenia jej jak najbliższego stanowiska. Sumienie artysty myśliwskie czyste było jak myśl dziewicza, nawet śmierć biednego szaraka nie ciężyła na niem. Strzelał czasem z dwu luf równocześnie, lub usiłował strzelać z nienabitej broni, a strzały jego omijały zawsze upatrzoną ofiarę. Szumny gwar rozpraw i polemiki myśliwskiej obijał się o jego uszy bez oddźwięku i znaczenia, ruch zwierzyny w kniei nie wywoływał gorączki czynu, hekatomby padłych ofiar nie rozbudzały rycerskiego animuszu.

Ale oko jego przymglone na łowach rozjaśniało się dziwnym blaskiem, gdy chwycił ołówek lub pendzel w rękę i mistrzowskim rysunkiem czy kolorytem odtwarzał sceny myśliwskie lub postacie typowe.

Wówczas iskra płomienna, utajona na dnie duszy, iskra uczucia artystycznego, tryskała z jego ręki, która rozlewała na kartonie barwy silne i czyste, jemu tylko właściwe.

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki posiada prawdziwe skarby artystyczne w owych szkicach złożonych w cennym albumie myśliwskim. Nie mała ich tam liczba — przeglądnijmy je pobieżnie.

Znajdujemy tam postać przezacnego gospodarza w różnych pozach i fazach życia myśliwskiego, a obok niego różne inne, o których z ich treściwą charakterystyką szkicowo wspomnieć pragniemy.

Oto twarz marsowa, naznaczona piętnem dumy rodowej, hartu ducha i nieprzełamanej woli, nie budząca może tyle sympatyi, ile zdumiewająca wybitnymi rysami potęgi i bogatej treści duchowej, a postać cała — to istny model męskiej siły i elastyczności ruchów dla rzeźbiarza. Oko żarem płonie, iskry sypie w około, oko to przenika do głębi na kogo spojrzy, czytać w niem można, jakby w otwartej księdze, cały nawał uczuć burzliwych, jakie dusza ognista, pełna niepohamowanych zapędów, w tem zwierciedle swojem żywo odbija. To hrabia Adam Potocki, istny rycerz sans peur et sans reproche, postać zaprawdę posągowa. Taką też była w myślistwie i w życiu całem, poświęconem nie miękkiemu używaniu bogactw, lecz rycerskim zapasom z zaporami, jakie jego szlachetnej dumie i męskiej naturze w drodze stawały.

Następnie widzimy wyniosłą postać z charakterystycznym wyrazem oblicza, zakutaną w strój myśliwski nie odbierający swobody ruchów, owiniętą szalem i kapturem; widzimy hrabiego Kazimierza Wodzickiego. Każdy nerw jego drga popędem badawczym, żaden szczegół najobojętniejszy nie uchodzi jego myśli i oka, wyobraźnia tworzy z wszystkiego barwne obrazy, którymi jego dzieła tak bogato ozdobione, umysł szuka życia i prawdy, nie łudzi się pozorami, wnika do głębi istoty rzeczy. Toż w oku, twarzy, ruchach, w całej postaci przebija się ów wyprężony stan duszy, chciwej wiedzy, czynu, w celu dokonania zamierzonego przedsięwzięcia, choćby nawet zuchwałego. Takie usposobienie nie zawsze godziło się z ogólnym nastrojem drużyny myśliwskiej, nie zawsze wpływało harmonijnie do głównego tonu, dyssonans ów raził może, ale rozbudzał energię i wyższe popędy.

Na stanowisku był istnym męczennikiem, lada usterka w prowadzeniu polowania jątrzyła go, każdy najdrobniejszy szczególik zwracał jego uwagę, radby być wszędzie, aby zarządzać, kierować, lub choćby dokładnie wykonać nie szczędząc najmozolniejszego trudu czy to w dalekim pochodzie, czy w szybkiem dojeżdżaniu lub najstaranniejszem tropieniu. Wszystko zwykle sam badał, stwierdził własnem doświadczeniem, niechętnie przeto opierał się na obcem zdaniu i mało mu ufał. Niezmordowanym był i wytrwałym, nie oglądając się wcale czy kto mu towarzyszy; ułożony plan musiał wykonać, choć skutek był wątpliwy i nieraz zawodził, ale i wtedy mnożył doświadczenie, rozszerzał rezultaty badań. Skarbnicą dla myśliwstwa i przyrodoznawstwa będzie księga w której przez całe życie składał owoce swego doświadczenia i badania. Teoryę myśliwstwa znał jak nikt inny, a w praktyce również był mistrzem. Monumentalna to postać w myśliwstwie i literaturze naszej przyrodniczej.

Inny szkic albumowy przedstawia nam hr. Kazimierza Dzieduszyckiego. W stroju wzorowo myśliwskim, na głowie okrągła, przylegająca czapka z zwisającemi uchami, wąs podstrzyżony, oko bystre, wyraz twarzy nieco ironiczny, ale nacechowany piętnem jakiejś ujmującej szczerości i pewności siebie. Myśliwy to starego autoramentu, ale dążący do postępu, bratający się z wymaganiami dzisiejszej chwili, byle one naginały się do jego rad i przekonań. Stąd opozycya, oryginalność zdań i poglądów, krytyczne nicowanie obcych twierdzeń, były głównym rysem usposobienia moralnego hrabiego Kazimierza.

Że jego przekonania tak pod względem myśliwskim, jakoteż w innych sprawach krajowych, były rezultatem głębszej myśli i szczególnego daru kombinacyjnego, wiedzą o tem starsi orędownicy spraw krajowych, którzy też zawsze chętnie sięgali do tego bogatego magazynu rozumu, doświadczenia i najzacniejszej chęci.

Innego kroju człowiekiem był nie mniej zacny hrabia Alexander Dzieduszycki, którego wierny wizerunek mamy także w albumie. Olbrzymiego wzrostu, niemal atletycznej ale kształtnej budowy ciała, z wzrokiem nieco przymglonym, z nieschodzącym z ust uśmiechem szczerym, serdecznym, był prawdziwym typem rycerskiego myśliwstwa starej szkoły. Toż raczej dla miłego towarzystwa brał on udział w nowoczesnych, uregulowanych, usystemizowanych łowach. Najpowabniejszem było dla niego polowanie

z dzielnymi chartami, ściganie odyńca na ognistym rumaku wraz z ogarami i zmierzenie się z osaczonym, rozjuszonym zwierzem z kordelasem w ręku, bo takie polowanie odpowiadało nastrojowi jego duszy, pełnej ognia, fantazyi, rycerskiego uczucia. Lubo przy wielkich towarzyskich łowach nie był w swoim żywiole, humor jego nie tracił cechy szczerej, serdecznej, nieraz jowialnej wesołości.

Znajdujemy też w albumie typową postać Stefana Oczosalskiego. Już pierwsze spojrzenie na nią nasuwało przypomnienie żartobliwego wierszyka naszego humorysty Augustyna Wilkońskiego: „Oto mój nos, patrzcie, co za nos!“ W istocie nos ów był charakterystycznem znamieniem całej postaci obok niepospolitej łysiny. Wiecznie poruszający się skąpy wąsik, wargi wydęte, oko duże bez rażącego wyrazu, postać cała niewielka, dosyć okrągła, — oto niepoczesna figurka Stefiego, jak go pospolicie zwano. Któż go w swoim czasie nieznał? Rwano go na wszystkie strony, nie dla jego społecznego znaczenia, lecz dla uciesznego humoru, wiedziano bowiem, że konającego do serdecznego śmiechu poruszy, najchorobliwszą apatyę w ruch i życie zamieni. Gdy po ciężkich trudach myśliwi wieczorem używali spoczynku, krzepili ciało obfitym pokarmem i sutą libacyą, wówczas najkorzenniejszą ich zaprawą był złoty humor Stefiego. Toż ze wszystkich stron kłuto go szpilkami dosadnych słów, iżby wywołać replikę, zawsze dowcipną, nie szczypiącą, ale nigdy szyderczą, nigdy obrażającą. Dość było przytem patrzeć na mówiącego, na jego giesta i ruchy, aby zatkawszy nawet szczelnie uszy, „boki rwać ze śmiechu“. Nie był to wytworny dowcip bogatego w nabytki naukowe umysłu, mieszczący w sobie głębokie, sentencyonalne prawdy, pobudzający do podziwu i uwielbienia fenomenalnego przymiotu ducha — były to raczej błyski, lekkiej, wesoło w świat patrzącej natury, zapalające się fosfory, gasnące bez śladu, czasem woni lekko lubieżnej albo zbyt prozaicznej; była to jowialność staroszlachecka, przybrana w nowoczesne szaty. Raczono się nią ochoczo i obficie, bo niewyczerpany był zasób sposobów odcinania się u Stefiego, a język jego warczał nieustannie jak kołowrotek. Lubiał on grę w karty, nawet hazardowną i wtedy to najobficiej tryskał jego dowcip, nimbem osłaniający radość z powodu wygranej, lub utrapienie, gdy kapryśna fortuna od niego się odwróciła. Gastronomem był też niepospolitym. Myśliwstwu oddawał się raczej dla przyjemności towarzyskiej, było ono dla niego akcessoryą, którą mniej starannie wykonywał i nieraz własnemi „pudłami“ szczycił się i żartował z nich. Podobno w salonowem towarzystwie raził nieco, ale w myśliwskiem był wielce pożądanym. Możnaby osobny, arcyucieszny złożyć obrazek na tle udziału Oczosalskiego w łowach, a nie tu dla niego miejsce.

Oto na powalonym śmiertelnie ogromnym odyńcu siedzi człowiek niepewnego wieku, widocznie przejęty niezmierną radością, głoszący tryumf swego bohaterskiego czynu. Trąbką zwołuje myśliwych, zbierają się oni na głos tryumfalnej radości, rozpytują, wielbią w fantastycznych barwach głoszone bohaterstwo, a gdy się wrzawa nieco uciszyła, sprawdzają strzały, z których się okazuje, że bohaterskim mordercą potworu — był sąsiad tryumfatora. Można sobie wyobrazić dekonfiturę upojonego przed chwilą szaloną radością myśliwego. Z niesłychanym ferworem, z czeska po polsku, jąkając się, ale ostatniego tchu dobywając, bronił swej sprawy, ale niestety napróżno; wobec wyrazistych dowodów straciły jego argumenta wagę i znaczenie. Śmiano się, żartowano, huczek był niemały, aż wreszcie i pokonany tryumfator szczery wziął udział w ogólnej wesołości.

Bohaterem tym był Wojciech Brunner, niegdyś nauczyciel muzyki w domu hrabstwa Miączyńskich w Pieniakach, następnie wielce szanowany i ceniony w przezacnym domu Hrabstwa Włodzimierzów Dzieduszyckich. Czci tej i starannej opieki godnym był bez miary. Zacny staruszek gorąco był przywiązany do rodziny swej dawnej uczenicy. Gołębiej prostoty i łagodności, nikomu się nie naraził, każdego ujął tryskającą z jego szlachetnego oblicza serdecznością i szczerością. Słuszny, silnie zbudowany, z okiem zawsze prosto w świat patrzącem, z wąsem spuścistym, czarnym bo farbowanym, z twarzą zresztą gładką, stroił się po staroświecku, głowę zdobił peruką, niezawsze zupełnie osłaniającą niedyskretnie wychylającą się siwiznę i łysinę, tembardziej, że często niepoczciwie na bok się przekręcała.

(Dokończenie nastąpi).

NA TOKU.

Dzięki uprzejmości i serdecznej gościnności p. komisarza S. K. w.... dostałem się znowu po latach na te urocze toki. Jest to znane eldorado cietrzewie, ale mimo obfitości tej szlachetnej zwierzyny, trzeba, jak wszędzie szczęścia, by ze skutkiem polować. Zdarza się bowiem i to nie rzadko, że koguty grają cudownie, podskakując czupurnie, walcząc, bełkocząc i sycząc namiętnie, ale wszystkie za daleko od budki i nie na strzał. Nieraz też zdarzało się dawniej, że próżno wracałem z toków, używając tylko o tyle, żem słyszał i widział, ale strzału nie mogłem umieścić. Pamiętny na to, zaopatrzyłem się tym razem prócz dubeltówki, w Schönauera z lunetą a jechałem z niekłamanem uczuciem radości, bo dawno już z cietrzewiami spotkania nie miałem. Ulokowałem się w budce z gałęzi świerkowych dość obszernej; noc jeszcze, ale ciepła i gwiazd tysiące iskrzą się, migocąc w ciemnym lazurze. Mimo zmęczenia i niewyspania, słuchałem uważnie i czuwałem. Czajki choć ciemności, krążyły nisko nad budką z znanym szelestem długich swych skrzydeł, odzywając się sennie i pisklíwie, zresztą cichutko. Tak siedząc, dumałem z godzinę, gdy usłyszałem nad sobą przelatujące i ciężko na łące zapadające cietrzewie. Ciemno jeszcze, aż nagle odzywa się pierwszy kogut a głos jego, lecąc po rosie, budzi drzemiących rywali i słychać głosy ze wszystkich stron. Tam syczy, tu bełkocze, tam zwarło się dwóch i walczą, tu kura kuka kochliwie, słowem tokowisko w całej pełni. W około mej budki słyszę mniej więcej 25 kogutów grających, prześlicznie! Skoro już zaczyna się życie, prócz skowronka, kszyk beczy jednostajnie, zataczając łuki w powietrzu, czajki coraz częściej i głośniej krzyczą a małe śpiewaki z kukułką na czele, zaczynają koncertować w pobliskim lesie. Już odróżniam czarne postacie a gdy tyłem do mnie, białe lustro pod lirą błyśnie wyraźniej w oczy. Grają uroczo, jeden bliżej budki, już zupełnie wyraźnie go widzę, podskakuje za każdem syknięciem, wreszcie opuszcza skrzydła, wyciąga szyję i bełkocze, obracając się zwolna na miejscu. Strzeliłem do niego, poderwał się i upadł

ciężko pod lasem. Strzeliłem śrutem i daleko, niepotrzebnie; trzeba było kulę puścić. Efekt mego strzału na resztę towarzystwa był ten, że bliżej siedzące porwały się, aby zapaść trochę dalej, dalsze zaś nie przerywały swej pieśni miłosnej. Widziałem ich dużo, bo jasno już zupełnie, ale wszystkie daleko. Wreszcie jeden przyleciał trochę bliżej. Wymierzywszy dokładnie przez lunetę strzeliłem, a kula przerwała pieśń jego na zawsze. Po krótkiej przerwie gra się rozpoczęła, tym razem dwaj rywale, którzy musieli mieć do siebie stanowczo jakąś urazę, sycząc wojowniczo, podskakiwali do góry i ku sobie zbliżali się energicznie, przy każdym podskoku zataczając łuk w powietrzu w stronę rywala. Wreszcie zetknęli się a wydając krótkie odgłosy, jakby kracząc częstowali się gęsto razami, trzepiąc skrzydłami raz po razie. Mierzyłem do nich, lecz w kierunku tym była budka sąsiada, tam więc kuli puszczać niepodobna. Dopiero, gdy walka się skończyła i kiedy jeden z nich odchodząc, zwycięzca, czy zwyciężony, posunął się w lewo, zabiłem go, miałem więc dwa. Drugi porwał się i poleciał a na łące cicho się zrobiło.

Po jakimś czasie zjawił się nowy transport, ale posiadały daleko od budek naszych, grając tam zapalczywie. Pozwoliłem sobie na strzał, bardzo daleki. Kogut zerwał się i zakrążywszy ze cztery razy w kółko, nisko nad ziemią, klapnął. Myślałem, że zabity. Po dziesięciu minutach, zerwał się, ciągnął tuż nad łąką w stronę lasu ze 100 kroków i zapadł: 5 minut później porwał się drugi raz i znikł w lesie. Albo kontuzya albo trafiony ale gdzie, bo przepadł i nie znalazłem go. Piąta się zbliżała, gdy teatr wojny i miłości przenosił się powoli z łąki do lasu. Jeden kogut grał jeszcze przed moją budką, którego zabiłem również przez lunetę na 141 kroków. Potem przelatywały cietrzewie wysoko, przez łąkę ku lasowi spiesząc, to koguty, to kury, siadały na drzewach i tam grały. Polowanie skończone. Wyszedłem z budki, podniosłem trzy koguty, a tamte dwa przepadły. Szukać długo sam nie mogłem, bo pociąg nie czeka, a wyjeżdżać niestety trzeba! Pierwszy śrutem strzelany zginął bez śladu, trzeba było kulą strzelać.

Prześliczny ranek, prześliczne toki, pogoda idealna a gra czarnych, walecznych ptaków tak urocza, że doprawdy trudno sobie wymarzyć.

Biedne koguty! ta gra ich, to miłość, ta pieśń, to kochanie, te walki to zazdrość, a wszystko — ich śmierć.

A. Sumiński.



W sprawie racyonalnej hodowli sarn

napisał

ALBERT MNISZEK.

(Dokończenie).

Przeciwnicy równowagi płci w hodowanym zwierzostanie sarnim powiadają, że stosunek taki jest złym z tego powodu, że podczas rui silne rogacze mając ledwie wystarczającą ilość kóz do zapłodnienia i nie dając przystępu do nich młodszym, bardzo je rozbijają i w inne rewiry ze szkodą właściciela przepędzają. Twierdzeniu temu słuszności przyznać nie mogę. Słabszy kozioł da łatwo silniejszemu sprawę za wygraną, a ten odpędziwszy go o kilkadziesiąt kroków, nie będzie się już o niego troszczył, lecz co prędzej wróci do boku swej bogdanki, tak, że tamten uciekać z rewiru nie potrzebuje. Może to mieć miejsce co najwyżej w małym bardzo rewirze, niekorzystnemi granicami zamkniętym, ale w takim, z powyższych względów, jak i z powodu, że doń często obce kozły przychodzą, należy nieco liczbę kóz w stosunku do kozłów powiększyć. Wiele razy widziałem już walczące ze sobą kozły, nigdy jednak nie widziałem walki mocniejszego ze słabszym, o tyle — by różnica ich siły i wzrostu rażącą była; przeciwnie obaj zapaśnicy prawie dorównywali sobie zawsze tak siłą, jak wielkością korpusu i rogów. Podczas najgorętszej rui zdarzało mi się natomiast widzieć młode kozły spokojnie pasące się i nie próbujące zupełnie brania niebezpiecznego w harcach miłosnych udziału.

Zdarzają się jednak w każdym rewirze stare kozły włóczęgi, które niewiedzieć zkąd się biorą, już w maju biegają za kozami, rozbijają młodzież i niepokoją cały rewir. Łatwo je poznać po długich ostrych rogach i po ich jakiejś ciągłej w oczy wpadającej, złośliwej ruchliwości i takie co najprędzej, powinny spotkać się z kulą.

Nie przeczę, że jest źle, jeżeli w zwierzostanie jest za mało kóz, ale jest o wiele gorzej, jeżeli ich jest za dużo, a na to właśnie choruje większa część naszych kniei. W tym wypadku kozy zadowalać się muszą za młodymi, niedorosłymi samcami, lub też pozostają jałowemi. Wszystko to wpływa fatalnie na rozwój gatunku, gdyż powoduje często powtórne gonienie się kóz, które zmęczone już rogacze licho zapładniają. Wskutek tego rodzi się w następnym roku późno liche i słabowite potomstwo, co znowu powoduje stopniowe zwyrodnienie, tembardziej jeżeli gra tam także zgubną rolę, chów sam w sobie (Inzucht).

Zwyrodnienie takie jest niestety dziedzicznem i znamionuje się słabą budową korpusu i rogów i małą odpornością na ostrość klimatu. Tylko racyonalne odstrzeliwanie może zwierzostan hodowany od zwyrodnienia uchronić, względnie wraz z odświeżaniem krwi takowe już istniejące usunąć.

Jeżeli zwierzostan jest w okresie rozmnażania się, musimy ilość kozłów przystosowywać do ilości kóz, przeciwnie, gdy zwierzostan uznamy za kompletny lub za zanadto duży, musimy ilość kóz w rewirze przystosowywać do ilości znajdujących się tam kozłów.

Odstrzeliwanie roczne wynosić więc musi tyle, ile wynosi przyrost roczny minus roczny ubytek naturalny, do którego wliczać musimy sztuki ubite przez pogranicznych sąsiadów, kłusowników i zwierzęta drapieżne.

Zanim zaczniemy prawidłowe odstrzeliwanie, musimy się przekonać możliwie dokładnie jaka jest ogólna ilość sarn w zwierzostanie, dalej ile jest silnych i słabych kozłów, ile kóz, kózek i koźląt. Najłatwiej zrobić to obliczenie w zimie na miejscach karmy, lub wiosną na łąkach i oziminach, na których sarny stale się pasą. Musimy dalej na mocy już kilkuletnich doświadczeń skonstatować procent rocznego przyrostu i ubytku.

Sprawdzić musimy ile jest kóz jałowych, ile rodzących jedno, dwoje lub troje koźląt. Poniżej podaję doskonały, bardzo plastycznie i z pedantyczną drobiazgowością ułożony plan odstrzeliwania, którego autorem jest dobrze nam już znany hr. Sylwa-Tarouca. W planie tym autor przyjmuje 80% rocznego przyrostu.

Jeżeli jednak przyrost jest gdzie większym lub mniejszym, odstrzeliwanie może być stosownie ograniczonem lub rozszerzonem.

Zwierzostan sarn i plan odstrzeliwania w stosunku 100 sztuk i 80 procent rocznego przyrostu

podług systemu hr. Sylva-Tarouca.

	I			II												III		
				1898			1899			1900			1901					
	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c
Kozy	40	1	3	40	1	—	48	2	—	56	3	—	64	3	—	50	1	3
Kózki	12	2	6	12	3	—	13	3	—	14	3	—	17	3	—	13	2	7
Razem kóz	52	3	9	52	4	—	61	5	—	70	6	—	81	6	—	63	3	10
Szpiczaki	12	1	2	12	2	2	13	2	2	14	2	2	17	2	2	13	1	4
Widłaki	9	1	1	9	1	1	8	1	1	9	1	1	10	1	1	8	1	1
Szóstaki słabe	7	—	1	7	—	1	7	—	1	6	—	1	7	—	1	6	1	1
„ łowne	6	—	1	6	–	1	6	—	1	6	—	1	5	—	1	4	—	1
„ silne	5	—	1	5	—	1	5	—	1	5	—	1	5	—	1	3	—	1
Prawie kapitalne kozły	4	—	1	4	—	1	4	—	1	4	—	1	4	—	1	2	—	1
Kapitalne kozły	5	—	3	5	—	3	5	—	3	5	—	3	5	—	3	1	—	1
Razem kozłów	48	2	10	48	3	10	48	3	10	49	3	10	53	3	10	37	3	10
Przyrost koźląt	33	5	4	33	7	—	37	9	—	43	9	—	50	10	—	40	6	8
Odstrzeliwanie i ubytek	—	10	23	—	14	10	—	17	10	—	18	10	—	19	10	—	12	28

	IV												V											
	1898			1899			1900			1901			1898			1899			1900			1901		
	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c	a	b	c
Kozy	50	2	—	58	3	—	68	3	–	79	4	—	40	1	—	49	2	—	59	3	—	68	4	—
Kózki	13	3	—	16	3	—	17	3	—	20	4	—	12	2	—	14	2	—	15	3	—	17	3	—
Razem kóz	63	5	—	74	6	-	85	6	—	99	8	—	52	3	—	63	4	—	74	6	—	85	7	—
Szpiczaki	13	1	4	16	2	4	17	2	4	20	3	4	12	2	—	14	2	—	15	3	—	17	3	—
Widłaki	8	1	1	8	1	1	10	1	2	11	1	2	10	1	—	9	1	—	12	1	—	12	1	1
Szóstaki słabe	6	1	1	6	1	1	6	1	1	7	1	2	9	1	1	9	1	1	8	1	1	11	1	2
„ łowne	4	–	1	4	—	1	4	—	1	4	—	1	7	—	2	7	—	2	7	—	2	6	—	2
„ silne	3	—	1	3	—	1	3	—	1	3	—	1	5	—	2	5	—	2	5	—	2	5	—	2
Prawie kapitalne kozły	2	—	1	2	—	1	2	—	1	2	—	1	3	—	2	3	—	2	3	—	2	3	—	2
Kapitalne kozły	1	—	1	1	—	1	1	—	1	1	—	1	4	—	2	3	—	2	2	—	2	1	—	1
Razem kozłów	37	3	10	40	4	10	43	4	11	48	5	12	50	4	9	50	4	9	52	5	9	55	5	10
Przyrost koźląt	40	8	—	43	9	—	50	10	—	60	12	—	33	5	—	38	8	—	43	9	—	50	10	—
Odstrzeliwanie i ubytek	—	16	10	—	19	10	—	20	11	—	25	12	—	12	9	—	16	9	—	20	9	—	22	10

Uwaga: I. stan i odstrzeliwanie normalne. II. pierwotnie normalny stan, odstrzeliwanie nieprawidłowe. III. niewłaściwe ukształtowanie stanu, odstrzeliwanie prawidłowe. IV. stan i odstrzeliwanie nieprawidłowe. V. pierwotnie normalny stan, odstrzeliwanie tylko kozłów łownych.

a znaczy stan, *b* znaczy naturalny ubytek, *c* znaczy odstrzeliwanie.

Co do kwestyi, jakie sztuki, kiedy odstrzelone być mają, to powinne być zachowane następujące reguły:

1. Po obliczeniu ilości i stosunku płci do siebie, należy odstrzelić wszystkie sztuki nadliczbowe i stosunek jaki chcemy mieć zachowany, psujące.

2. W rewirach mniejszych przy niekorzystnych warunkach granicznych, należy utrzymywać zawsze trochę więcej kóz.

3. Kozy należy strzelać tylko pewnie jałowe, z młodych zaś słabe i chore, a szczędzić bezwarunkowo ciężarne. Gdy odstrzelenie zarządzonem być musi, lepiej zabić 2 kózki niż matkę, gdyż pełnoletnie kozy dają silniejsze i zdrowsze koźlęta niż młode. Strzelając w ten sposób stare chore lub jałowe kozy, usuwamy ten szkodliwy i zupełnie nieproduktywny ciężar z kadrów rozpłodowych, przez co zmniejszyć się musi w latach następnych naturalny ubytek.

5. Z liczby kozłów w rewirze odstrzeloną być powinna co najwyżej $^1/_5$, a z silnych i kapitalnych $^1/_4$. Prócz tego należy zawsze i bezwarunkowo usuwać z rewiru wszystkie słabe, chore i zwyrodniałe sztuki, do których zaliczam wszystkie myłkusy, kozły bez rogów, perukarze i t. p. wyrodki. Należy być bardzo natomiast skąpym w odstrzeliwaniu młodych szóstaków, które łatwo po wysokich a cienkich rogach poznać można. Są to, jak słusznie powiada autor załączonego planu, „przyszłe ozdoby rewiru i ojcowie późniejszego silnego pokolenia“.

W rubryce V. tego planu widzimy, jak strzelanie wyłącznie łownych kozłów jest szkodliwem i niemożliwem na czas dłuższy z powodu, że ich w końcu zupełnie zabraknie. W ślad zatem idzie szybkie zdegenerowanie zwierzostanu. Niech o tem pamiętają ci myśliwi, którzy w swych rewirach na kozły wyłącznie na podjazd polują. W rubryce III. widzimy jak nienaturalnym jest stosunek kozłów do kóz 37 : 63. Jeżeli taki stosunek ma być dalej utrzymanym, to odstrzeliwać się musi same niełowne kozły. W rubryce II. widzi się jak prędko wytwarza się stosunek anormalny w rewirze, jeżeli się kóz i koźląt regularnie nie odstrzeliwuje. Po czterech latach z pierwotnego stosunku kozłów do kóz, 48 : 52 zmienia się na stosunek 53 : 81! Ten stan jeszcze jaskrawiej daje się widzieć w rubryce IV, gdzie po czterech latach takiego gospodarstwa stan łownych kozłów wynosi 10, na 99 kóz!

5. Kozły powinne strzelane być tylko kulą po zupełnem wylenieniu się rogów, a wszystkie anormalne, wyrodki i te stare zabijaki-włóczęgi, o których już wspominałem, najpóźniej przed lipcową rują.

6. Koźlęta najlepiej strzelać w zimie, raz że najłatwiej wtedy dają się rozpoznać a po wtóre, że jako już wyrośnięte i dochód dać mogą.

To byłoby mniej więcej wszystko, co o teoryi odstrzeliwania sarn w celu utrzymania normalnego ich stanu w racyonalnie utrzymanym rewirze powiedzieć by można. Zbytecznem byłoby mówić, że takiego wykonywania gospodarki łowieckiej podjąć się może li tylko wysoce fachowy myśliwy, nadto od lat kilku dokładnie z danym rewirem obeznany.

Kończąc ten artykulik mój powtórzyć raz jeszcze muszę, że zanadto wybujały zwierzostan w danym rewirze, nie może być wyrazem dobrej i racyonalnej tam gospodarki a w naszym kraju nadto i z innych względów musi być zbyt szkodliwym, gdyż doprowadza do konfliktu rolnika z myśliwym a w kraju tak jak nasz czysto rolniczym, konflikt taki musi wypaść na niekorzyść myśliwego.

Mówiąc już o tem, nawiązać chciałbym to moje zdanie i do innej jeszcze sprawy. W kilku okolicach naszego kraju rozmnożyły się w znacznej ilości jelenie dawniej parkowe, dziś zupełnie na wolności żyjące.

Stały się one dzisiaj formalną plagą.

Stan kilkudziesięciu jeleni żyjących na wolności w okolicy kulturalnej i gęsto zaludnionej jest mojem zdaniem anomalją niemającą racyi bytu. Łowiectwo znać może tylko jelenie w dwóch wypadkach, albo w bezkresnych dzikich obszarach n. p. górskich, jako tego wspaniałego zwierza króla tych gór i borów, lub w cywilizowanej okolicy jelenia parkowego w zamkniętym zwierzyńcu. Jeleń to zwierz za potężny, za dużo miejsca, wygód i pożywienia potrzebujący, by żyjąc w okolicy rolniczo zagospodarowanej i silnie zaludnionej nie musiał się stać wkrótce nieznośnym dla wszystkich ciężarem.

A na tem cierpi łowiectwo!

Racyonalne myśliwstwo nie może wejść w konflikt z rolnictwem. Urocza Arthemis była córką Zeusa, a Demetra jego siostrą.

Te dwie panie były ze sobą zawsze w zgodzie.

ANTONY HARWICHE DEANE.

Miś towarzyszem noclegu.

Ojciec mój był jednym z pierwszych osiedleńców na zachodniej stronie rzeki Saskatchewan. Zdążaliśmy tam w r. 1880, gdy liczyłem sześć lat, jadąc 200 mil wozem od St. Boniface, poza ktory wówczas nie szła kolej. Posiadaliśmy stado koni i wołów, które ciągnęły wóz. Jako głównego woźnicę, mieliśmy francuskiego mieszańca z Rat Portage „Miché“, o miedzianej twarzy, który chcąc mię rozerwać, wsadzał mię na kark, idącego na czele orszaku wołów, wielkiego „Billy“.

Przebyliśmy w bród rzeki Saskatchewan i Assiniboine, co wedle mnie było rozkosznem doświadczeniem, jakkolwiek mój ojciec, moja matka i dwie siostry nie podzielali wcale mego zachwytu, gdy wpakowani w budę pojazdu, owinięci szczelnie w płótna żaglowe, byliśmy ciągnieni przez wodę, w ślad za płynącą naszą trzodą. Sądzę, że nie robiliśmy dziennie więcej, jak dziesięć mil.

Wiem, że wieczorem, gdyśmy obozowali w czworoboku, utworzonym przez cztery wozy, Miché brał mię na ręce, wznosił w górę i pokazywał mi miejsce wczorajszego noclegu, tudzież miejsce rozbicia namiotów nazajutrz.

Po przebyciu Saskatchewan, przewodnikiem naszym został Indyanin. Szliśmy dopóty, dopóki sięgały ślady, a w miejscu, gdzie się skończyły, osiedliliśmy się. Mała rzeczka toczyła się tu między stromymi brzegami, pokrytymi drzewami, poza którymi ciągnęły się wielkie pagórki ku północy.

Ciepłe wiatry „Chinook“ powstające na oceanie spokojnym a wiejące z gór Skalistych, łagodzą ostre zimy. Było wczesne lato a tysiące roślin na preryach okryły się ślicznem kwieciem. Biegałem i czepiałem się sukni matki, by jej powiedzieć, że dostaliśmy się w końcu do nieba,

lecz by spytać zarazem, gdzie mój mały braciszek, który umarł? Chciałem się o tem koniecznie dowiedzieć i zakłopotałem się bardzo, widząc matkę odwracającą się, by stłumić płacz.

Pierwszy rok mieszkaliśmy w namiotach, potem powstała nasza pierwsza chata, która obecnie stanowi kuchnię ojcowskiej farmy.

Za 100 ft. rzniętego drzewa płaciliśmy 60 dolarów.

Drzewo to sprowadzaliśmy wodą z Winnipeg, inaczej musielibyśmy byli płacić za nie potrójną cenę. Odbyliśmy drogę stopięćdziesięciumilową dla kupienia zmielonego zboża, konserwów mięsnych na zimę i herbaty, której brak matka moja bardzo odczuwała.

Żaden rząd nie czuwał wtedy nad tą okolicą. Ojciec mój osiedlając się zastrzegł sobie prawo pierwokupna otaczającego gruntu w ilości 320 akrów. Później skorzystał z przywileju squattera, aby nabyć jeszcze więcej ziemi dla mnie i brata, gdyż w miejsce małego braciszka, który zmarł i nie powrócił, przybył drugi, bym miał towarzysza zabawy. Przy zdarzeniu tem sprowadziliśmy lekarza z Brandon city, odległego dwadzieścia cztery mil od miasta Brandon, położonego nad rzeką Assiniboine. Teraz już idzie kolej do Calgary, na wysokości 3.388 stóp nad pozionem morza a okolica zdaje się być w czasie żniw oceanem żółtego zboża — tak to raptownie zmieniło się oblicze ziemi w obec mrówczej pracy człowieka.

Rozumie się, że pierwszego roku nie mieliśmy żniwa, prócz późnego zbioru ziemiaków, kopanych wśród ściętych przez ojca pni drzew, polowanie zatem rozpoczęło się wcześnie.

Kurki, znajdujące się zazwyczaj na preryach, dzikie kaczki i gęsi były przedmiotem łowów. Dwa ostatnie gatunki ptaków, bardzo smacznych, przybywają w sierpniu z północnych okolic, by osiedlić się na pełnych trzciny brzegach jezior a bywa ich bez liku. Lecz nieliczni mieszkańcy naszej farmy nie chwalili sobie świeżego mięsa; woleliśmy łososia z puszki lub australską baraninę. Czyż był szczęśliwszy chłopak odemnie wtedy, gdym — mając dziesięć lat — dostał lekką strzelbę na ptactwo?

Wędkę miałem był już przed laty i przez cały boży rok nie wypuszczałem jej z ręki, nie zważając na czas ochrony a odnosiłem rezultaty bardzo pomyślne.

W jeziorach był szczupak i brzana a od tłustych srebrnych pstrągów roiło się w rzece.

Łowiłem ryby z brzegu lub z tratwy, przymocowanej do drzewa i używałem rajskich rozkoszy, jakkolwiek raj był stamtąd bardzo daleko.

Gdy podrosłem i mogłem używać strzelby ojcowskiej, brał mię ze sobą na mose'a i caribou Indyanin Alek, traper, który w młodych latach był przewodnikiem na Alasce; polowaliśmy na łasicę norkę i szopa.

Polowanie na wilka było innego rodzaju sportem, do którego zbyt gorąco się brałem. Okolica miała zupełnie charakter preryi, toteż umożliwiała bezpośrednie ściganie zwierzyny, ruszonej przez psy, tęgie zwierzęta, których mój ojciec posiadał dwie sfory. Rig (każdy zna ten do giga podobny, wehikuł kanadyjskiego squattera) wiózł mię na złamanie karku przez pola i nieużytki, gąszcze i preryе, przez strumyki i bagna, to górą to dołem, po brzegach wąwozów. Powoził miedziany chłopak „Goff" niemniej odemnie zapalony zwolennik sportu a znający okolicę tak, że trafiłby wszędzie z zawiązanemi oczyma.

Miejscowy wilk, dość dziki, by rozpoczął walkę z atakującymi go psami, rzadko atakuje człowieka.

Pomimo to wcale sobie nie życzyłem spotkać się z nim wśród gęstych łopuchów, gdy nie miałem przy sobie ani strzelby ani rewolwera, gdyż czułem to dobrze, że wilk chciałby ze mną wyrównać rachunek za żałobę, którą dzięki mnie nosiła niejedna wilcza rodzina po swych członkach. Brzmi to może trochę w duchu nie sportmeńskim a jednak aby wytłumaczyć mą odwagę, odziedziczoną po moich wschodnich, angielskich pradziadach, pozwalam sobie nadmienić, że nocowałem pospołu z niedźwiedziem, i to bynajmniej nie z oswojonym niedźwiedziem.

Miałem lat siedmnaście, zdałem wstępny egzamin i wstąpiłem dopiero co na kanadyjski uniwersytet.

Przepędzać zimę w domu, znaczy to: polować, sankować się, ślizgać, tańczyć z nadobnemi córkami farmerów z sąsiedztwa — gdyż obecnie mieliśmy mnóstwo sąsiadów w promieniu pięćdziesięciumilowym.

W lecie natomiast mówi się tym wszystkim przyjemnościom: Bywajcie zdrowe! Musiałem bowiem zakuwać się, jeżeli chciałem zostać czemś więcej, niż squatterem.

Tymczasem przyszedł Goff i zawracając oczyma powiedział mi, że Indyanin Alek wie o niedźwiedziu.

Posłałem go, aby sprowadził Aleka jak najchyżej, właśnie bowiem potrzeba mi było niedźwiedziej skóry do sanek. Nie do moich sanek, tylko dla pewnej damy. Dama ta nie była moją babką, ani też mą matką; nic w tym guście.

Raz, że moja babka już nie żyła, po drugie, że ojciec mój dał matce skórę niedźwiedzią latami przed mem przyjściem na świat, a trzeba wiedzieć, że na północnym zachodzie daje młody człowiek zazwyczaj skórę z pierwszego niedźwiedzia pannie.

Otóż, jeżeliby ta skóra było do dostania, to potrzeba mi jej było dla panny. Miedziany Alek, traper, zjawił się a miał tak miły wygląd, jaki zwykle miewa indyjski mieszaniec.

Jego wełniana kurtka i jelenie kamasze, które nazywał zgodnie z Eskimosami „mucklucks" były stare i nasiąknięte tłuszczem wielu moose'ów i caribu; prawdę powiedziawszy nosił on je od czasu swego przybycia z Vancouver.

Słuchamy pilnie.

„Oui, M'sieu Antoine, niedźwiedź jest rzeczywiście. Pan zapoluje na niego ze starym Alekiem i sprawi mu wełnianą kurtkę i takie kamasze, których właśnie dyablo potrzebuje. My całkiem cicho zapolujemy na tę bestyę. Ja nie chcę tych psów mieć na piętach, to do niczego takie łowy, voyez! Tu potrząsł swym bronzowym, węzłowatym palcem przed nosem.

„Mojem zdaniem ten niedźwiedź wielki mądrala".

Wiedząc że zima będzie łagodną, zasypia wcześnie.

Jeżeli tylko jest w gawrze, ja go znajdę w wydrążeniu skały pod wielką sosną. Chrapie on tak donośnie, że słyszę go, gdy pełzam za wiewiórkami.

Jest on stąd nie o całych dziesięć mil, w połowie drogi do miejsca, które wy nazywacie „Cedar Ridge" a my Indyanie inaczej, ale ja nie powiem jak. Nous nous allons! Wezwania swego nie potrzebował Indyanin powtarzać, gdyż natychmiast pobiegłem do domu.

Wziąłem strzelbę, nóż myśliwski i torbę z nabojami; domowej roboty woreczek z przekąską i flaszeczka nalewki jabłczanej, wyrobu mej matki, sporządzonej z własnych naszych owoców, dopełniły mego myśliwskiego wyekwi-

powania; odrębnych trzewików do śniegu nie potrzebowaliśmy, gdyż śniegu nie było dużo.

Wyruszyliśmy wcześnie do Cedar Ridge, krocząc po śnieżystych, leśnych ścieżkach prawie tak po cichu, jak to czynią pobratymcy Aleka, i zastaliśmy niedźwiedzia w domu, w jego gawrze pod wielką sosną. Wycięliśmy żerdzi, zaostrzyli końce i w ten sposób wyprowadziliśmy tłustego, śpiącego zwierza z odrętwienia.

Gdy wyszedł z gawry, mając małe, czerwone oczy zakisłe wskutek czternastodniowego snu, posłaliśmy mu celną kulę.

Nie był to wprawdzie pełen chwały, rodzaj polowania, lecz pozyskaliśmy zwierzynę a skóra dla panny Maryi Leblanc została ściągniętą z byłego mieszkańca jaskini.

Następnie wyciąwszy przednie kawały mięsa z niedźwiedzia na wieczerzę, zagrzebaliśmy resztki w śniegu.

Z resztkami temi zagrzebaliśmy także skórę, by po nią następującego dnia przyjechać sankami. Traper Alek usunął troskliwie wszystkie ślady krwi z miejsca odbytej tragedyi.

„Nie długo, M'sieu Antoine, zagości drugi niedźwiedź do tej jaskini. Gdyby jednak zwietrzył krew, toby nie przyszedł. Zapach taki odradziłby tu spać szczwanemu niedźwiedziowi. Lecz stary Alek zna fortele, zobaczy Pan“.

Zaczął tedy mieszaniec pracować cierpliwie, by przywrócić pozory porządku.

Narzucił świeżego śniegu na stłoczone nogami i skrwawione miejsca, naciął gałęzi żywicznej sosny i nałożył ich grubą warstwę na prowizoryczny grób niedźwiedzia. Potem spożyliśmy śniadanie a gdy nie było pod reką wody, ja przyzwyczajony do wody lub herbaty, pociągnąłem łyk nalewki.

Alek poszedł w głąb lasu, by odszukać śladów łasicy norki a ja czując się oszołomionym i sennym powiedziałem mu, że będę go oczekiwał w miejscu, gdzieśmy spożyli śniadanie.

Gdy schylona postać Aleka znikła wśród okrytych śniegiem krzaków, wpełznąłem do opróżnionego barłogu niedźwiedzia i zwinąłem się w kłębek na suchym, czystym piasku.

Pamiętam, że narzuciłem na siebie nieco uschłych gałęzi sosnowych i w ten sposób usnąłem.

Gdym się obudził, było ciemno a ja się dusiłem. Ciepły, przejmujący zaduch — niewątpliwie odór niedźwiedzia, czułem w nozdrzach. W jaskini było ciemno zupełnie. Ciężki, chrapiący oddech uderzał me uszy. Skamieniałem z przerażenia; ogłupiały zacząłem przypuszczać, że sklepienie gawry runęło; że ciężkie chrapanie, które słyszałem, było mem własnem śmiertelnem rzężeniem. Wkrótce było mi jasnem, że znajdowałem się w leżu z niedźwiedziem!

Przepowiednia Aleka spełniła się; do jaskini zawitał, dzięki fortelowi starego trapera, drugi gość.

Przybysz, może zaniepokojony w śnie, tak jak nasza ofiara, i ociężały zimowem odrętwieniem, nie zauważył, że jaskinia była już zajęta.

Dlaczego?

Może wziął mię pogrążonego w ciężkim śnie, za nieżywego, a może ubior mój i ręce, przesiąkłe tłuszczem niedźwiedzim uśpiły wrodzoną dzikiemu stworzeniu podejrzliwość.

Krwi na mnie nie było, gdyż Alek usunął wszelkie ślady i resztki. Lecz gdyby i tak było...

Rzecz nie do wytłumaczenia, a przecież tak było; niedźwiedź wczołgał się, zwinął się w kłębek i usnął twardo w gawrze, w której już spał człowiek!

Pierwszym warunkiem, sine qua non, od którego zależało me życie było nie obudzić towarzysza, lecz jakże się wydostać, jeżeli go nie zbudzę?

Bo jeżeli go zbudzę, przyjdzie między nami do walki, ale kto z niej wyjdzie zwycięsko? Ja, ze ściśniętemi kolanami i łokciami w tej ciasnej przestrzeni, czy też miś?

Pamiętam, że sięgnąłem ręką po mój nóż myśliwski i pot zrosił me rozpalone ciało, gdy się przekonałem, że go niema. Pożyczyłem go Alekowi. Tak tedy pozostawała jedna nadzieja — powrót Aleka.

Skuliłem się na jak najmniejszej przestrzeni i cicho leżąc wyczekiwałem.

Godziny musiały mijać a ja oczyma duszy — nie wiem jak — widziałem Aleka idącego. I zdawało mi się, że jakiś wiotki, bezcielesny, odbywam wraz z nim drogę ścieżką, wiodącą do domu, że zdążam przy jego ramieniu, że usiłuję bezwładnemi, duchowemi rękami chwycić frędzlę jego myśliwskiej kurtki, że wołam doń jakimś głosem bezdzwięcznym, aby na miłość boską wrócił, aby mię ocalił.

Opowiadał mi później, że słyszał i czuł wszystko, lecz brał to za kuszenie leśnego złego ducha, usiłującego go zwabić w pazury pumy. A ponieważ spotkał w drodze dużo zwierzyny, wystrzelał wszystkie naboje, prócz jednego, czy też dwóch.

Po tej strasznej, rozdzierającej rozpaczy, przyszedł wielki spokój, zrozumiałem, że mam umrzeć, więc niechby to się stało od razu. Postanowiłem czekać, dopóki niedzwiedź nie uśnie więcej twardo, a wówczas próbować przezeń przeleźć. Niedźwiedź się zbudzi a ja zginę rozdarty. Naraz przypomniałem sobie, że mam w mem jelenim „parki“ nałożoną fajkę i zapałki, a będąc takim zwolennikiem tej lubej rośliny, jak jaki Indyanin lub Eskimos, postanowiłem zapalić jeszcze raz przed śmiercią. Drżącemi cokolwiek rękami zapaliłem fajkę. Pociągnąłem sześć razy z krótkiego, wiśniowego cybuszka i to wzmocniło me nerwy.

Miałem dobry, drobno krajany, amerykański tytoń, jeden z najlepszych, jakkolwiek najmocniejszych gatunków w świecie. Przejmującą swą wonią napełnił wszystkie szczeliny jaskini.

Huf!

Straszliwe kichnięcie zapowiadało, że niedźwiedź budzi się naprawdę, to też byłem przygotowany na to, że stoczy ze mną walkę, nim mi wyrzuci moją fajkę.

Kichnął znowu, potem zaś kichał i ryczał naprzemian. Potem ogromne cielsko podniosło się, zasłaniając szczelnie światło, a następnie zawładło mną uczucie nie do uwierzenia — uczucie radości i zdumienia. Mój kudłaty towarzysz wysunął się z barłogu tak szybko, jak szybko niedźwiedź potrafi i dał drapaka. W następnej chwili znajdowałem się wśród posępnego, lecz jasnego światła, wolny, cały i niewypowiedzianie wesół.

Naraz usłyszałem strzał jeden i drugi z dubeltówki Aleka, a pobiegłszy ku południowi, zobaczyłem jak indyjski mieszkaniec zadawał wielkiej niedźwiedzicy „Coup de grace“. Była w ciąży, to też byłaby okazała podwójną zajadłość. Skóra jej była szczególnie delikatna i przez wiele zim okrywała me łoże.

„Gdy ją spotkałem, wracającą z gawry, sądziłem, że Pana zabiła, M'sieu Antoine“ rzekł później Alek.

Dlatego to duch pański szeptał mi do ucha. Lecz nie, to tak nie było i jestem przeklęcie rad z tego, ponieważ sprawisz mi Pan kurtkę i kamasze, M'sieu Antoine“.

Korespondencye.

Sprawozdanie delegata z powiatu Rzeszowskiego.

Rok 1904 był rokiem niezwykłym, gdyż dał nam niebywałe upały i posuchę, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają, a brak wody oddziałał i na zwierzynę niekorzystnie.

Najwięcej ucierpiały zające, było ich znacznie mniej, niż się spodziewano po lekkiej zimie i suchej wiośnie.

Stan sarn był niezły, mamy ich mniej, niż przed kilku laty, ale to jeszcze wskutek lat mokrych i motylicy — za to w tym roku sarny są wyjątkowo zdrowe i ani jednej chorej nie widziałem. Rogacze miały silne parostki. Najlepiej stosunkowo wytrzymały posuchę kuropatwy, których stan pomnożył się znacznie, osobliwie w rewirach nad rzekami położonych. Słonek prawie nie było, a błotnego ptactwa ani na lekarstwo, bo błota wyschły doszczętnie. Bocianów było niewiele, a tu taka namiętna polemika rozwinęła się w „Łowcu" o te ptaki. Ja za bocianami po bagnach nie chodzę, ale gdy spotkam tego panicza na polach, to każdemu w łeb strzelam, bo on tam z pewnością wężów ani żab nie szuka.

Przebyliśmy tej jesieni chorobę dzierżawy polowań gminnych — to strach, ilu teraz myśliwych, każdy chce strzelać, a tak mało ludzi hoduje zwierzynę! Polowania gminne znacznie podrożały, a niektóre wyszły na kilkaset koron.

Dzierżawa takich drogich rewirów jest dostępną tylko dla ludzi zamożnych, boć to tylko pas ochronny, aby ich rewiru nie zniszczono, a prócz tego trzeba jeszcze płacić za szkody, któreto niby zwierzyna wyrządza. Nic dziwnego, że wielu właścicieli mniej zamożnych nie dzierżawi polowań gminnych, bo to za kosztowna zabawka.

Polowań odbytych w naszej okolicy, nie będę szczegółowo opisywał, bo chociaż niektóre były ładne, ale skąpo by wyglądały nasze rezultaty w obec sprawozdań z Poznańskiego i Królestwa, które czytaliśmy w „Łowcu".

O tradycyjnej gościnności gospodarstwa, o doskonałem „papu" i bridżu także nie będę się rozwodził, zaręczając, że wszędzie nie pozostawiały nic do życzenia.

Byłem na bardzo ładnem polowaniu w Baranowie u p. St. Dolańskiego, jeden dzień w lesie, dwa dni w polu, organizacya doskonała — rezultat 12 rogaczy, 5 lisów i 285 zajęcy, a ponieważ preliminowano 300 zajęcy, więc niewiele brakło. Stan kuropatw w Baranowie jest świetny, ale styczeń, więc nie wolno.

Zarząd łowiecki hr. Stanisława Tarnowskiego w Rudniku udzielił mi wykazu ubitej zwierzyny w roku 1904 — podaję go jako przykład racyonalnej i sprężystej gospodarki łowieckiej.

Ilość zabitych szkodników jest istotnie imponująca.

a) Zwierzyna pożyteczna.

Jeleń 10-tak	1	szt.
Dzików (8 dużych)	11	„
Rogaczy na podjazdach	75	„
Starych kóz	3	„
Zajęcy	196	„
Bażantów	11	„
Kuropatw i przepiórek	161	„
Kaczek i kszyków	53	„
Razem	511	szt.

b) Szkodniki.

Lisów	165	szt.
Psów	201	„
Kotów	346	„
Łasic	24	„
Wydr i tchórzów	6	„
Jastrzębi	126	„
Srok	902	„
Wron	1548	„
Razem	3318	szt.

Bocianów zdaje się nie tępiono, a jest ich tam spora ilość.

Żałuję bardzo, że administracya nie podała rezultatu cyfrowego, ile osiągnięto za zwierzynę, a ile wyniosły koszta, ale zdaje mi się, że niedaleką jest chwila, gdy rozkład pożytecznej zwierzyny przewyższy liczbę szkodników.

Kończę przesyłając kolegom myśliwym serdeczne pozdrowienie z życzeniem, by im zwierzyna mnożyła się i rosła, a równocześnie kartofle i pszenica.

R. Woyciechowski.

Galicya, w marcu 1905.

W jednym z dzienników niemieckich napotkałem niedawno wykład o „Spotkaniu" — tyle zabawny, że choć w skróceniu warto o nim wspomnieć. Zbożny jakiś nemrod, powiada u wstępu, że poprostu bogini Dyana jest dla niego „Luft". Twierdzi dalej że wszystkie westchnienia zasyłane przez myśliwych licznych narodów, do tej kapryśnej niewiasty, są niepotrzebne, bo szczęśliwe a liczne spotkania myśliwy sam tylko sprowadza, — i sprowadzić może. Teorya ta nowa, tak mniej więcej się przedstawia. Na każdem polowaniu toczy się walka dwóch wrogich okazów; z jednej strony myśliwy pałający żądzą zabijania, z drugiej zaś zwierzyna która wysila swe instynkta, by ujść śmierci. Otóż myśliwy staje na stanowisku i koncentruje w sobie rodzaj fluidu, który działa przyciągająco na zwierzynę mimo odrębnego fluidu, jakim znowu naładowana jest zwierzyna. Im fluid myśliwego bardziej skoncentrowany, tem spotkanie pewniejsze. Autor na ogół przyznaje młodszej rzeszy myśliwych większą zdolność promieniowania, stąd też młodzież bardziej szczęśliwa w spotkaniu.

Nie wiem jednak dlaczego pominął autor kłusowników a przedewszystkiem wszystkich fuszerów? Ci chyba pęcnieją od fluidu!

Byłbym może wkrótce zapomniał o tej fraszce pisarskiej, gdyby nie zdarzenie z połowy ubiegłego miesiąca, którego grozę, do tej chwili dotkliwie odczuwam.

Sezon polowań dobiegał już końca. Brałem udział w paru bardzo wydatnych polowaniach dziczych, ciągle jednak bez rezultatu, bo zdołałem chybić zaledwie jednego dzika! Widocznie piękna bogini nie była mi rada albo mój dziczy fluid zbyt był rozcieńczony. Gdy jednak polowania szybko mijały, fluid począł potężnieć, aż wreszcie zwyciężył. A jak, pokrótce opowiem.

W niedzielę po obiedzie wpada do mnie ekonom z raportem, że w tej chwili wracając z pola widział 2 dzik jak wyszły z pobliskiego lasu i posuwają się wolno ku kopcom kartofli. Ekonom zaklina bym się spieszył, bo dziki duże, odyniec i locha, a nie są spłoszone, jest więc szansa przyjścia do strzału. Chwytam więc dryling, kilka ładunków i szkła, — siadamy na sanki i gonitwa w pole. Zaraz za folwarkiem na szczycie pagórków spostrzegam

dwie czarne sylwetki, posuwające się wolno, w kierunku sąsiedniego rewiru. Przez szkła rozpoznaję dwa dziki, truchtem idące. Każę jechać cwałem na przełaj, by drogę dzikom przeciąć, za chwilę jestem na grzbiecie pagórka — dzików jednak nie widać. Przecinam w poprzek górę i wreszcie znajduję dwa tropy, ale na szczęście powrotne w kierunku mego lasu. Jadę więc wolno za tropami z strzelbą gotową do strzału, w falistym terenie przeciętym szkarpami. Wyjeżdżamy wreszcie na jeden szkarp, — poniżej jeziorka, a na niem oba dziki! Bliżej większy wycinek, dalej trochę niewielka locha.

Wycinek spostrzega konie — fuknął głośno i ruszył; zeskakuję ze sanek i posyłam kulę expresową — wycinek zaznaczył, więc z gładkiej lufy strzelam do drugiej sztuki; i ta kwikiem znaczy kulę. W tej chwili oba dziki giną mi z oczu za stromym pagórkiem. Idę na strzał pierwszy, (70 kroków) jest szczeć i po kilku skokach dobra farba — toż samo znajduję i na strzale drugim (110 kroków). Z szczytu pagórka dzików nie widzę, idę więc za widoczną farbą po stromym stoku góry. Paręset kroków dalej znajduję się przy opłotkach przysiółka pod lasem. Wreszcie na zakręcie płotu spostrzegam oba dziki. Locha leży w ostatnich podrygach, wycinek siedzi obok, widocznie ciężko strzelony. Wsadzam więc pospiesznie kulę expresową, by go dobić, gdy w tej chwili wyłazi chłop na płot, wita mię i z uśmiechem powiada: „Perepraszeju pana, ałe ne bude pan mał utichy z tych striłiw — bo to moji swyni“! Zdębiałem poprostu i zaczynam podejrzywać gospodarza, że wrócił z jakiejś niedzielnej libacyi i żartuje.

„To proszu pana, swyni z waszoho hnizda — weпryk buw duże złyj, nyni wyłomał chliw, taj oba wtikły do lisa. Ja ich kupyw porosietamy wid Waszoho polowoho“. — Stoję nad „dzikami“ cały zmartwiały, — locha niewielka już nieżywa, wycinek dochodzi — ładna sztuka, kły już na wierzchu, szczeć długa stojąca, — oba czarne, locha trochę rudawa.

I to na prawdę nie są dziki?!

I staje mi przed oczyma nieszczęsna chwila; gdym lekkomyślnie przed paru laty sprowadził z zagranicy czarne Bergshiry — dla poprawienia miejscowej hodowli. Chów się nie poprawił bo go pomór zniszczył, a oto ostatnie dwa produkty krzyżowania prostej chłopskiej świni — w całej krasie dziczej urody, leżą u mych nóg!

Niechaj nie danem będzie nikomu z towarzyszy, by kiedy po takiej dublecie z takim tryumfem wracał do domu, jak ja owej pamiętnej niedzieli!

W ślad za mną przybył gospodarz ciągnąc żałobne sanie. Bergshiry powędrowały do spiżarni a natomiast dwa żywe Yorkshiry do mego sąsiada.

Więc chyba ma racyę ten niemiaszek żartowniś? Więc jest ten fluid tajemny — lecz nie trzeba go zbytnio koncentrować? Wszak nadobna Sylwanka tak przecie kapryśną nie jest, by swojskie świnie myśliwemu podprowadzić chciała? *J. S.*

Makuniów w kwietniu.

Wiosenny ciąg słonek rozpoczął się w tym roku dość wcześnie. 26. marca widziano już tutaj pierwsze słonki. Nie był to ciąg dorównujący zeszłorocznemu wiosennemu, jednakowoż było tu tych, każdemu myśliwskiemu sercu miłych, długodziobów dosyć!

Cóż, kiedy się musi wplątać zawsze jakieś „ale“, które nie da wyzyskać sytuacyi, jakby to człowiek pragnął!

W zeszłym roku uratowały się słonki od pogromu przez dwojakie święta, które w tydzień po sobie, podczas największego ich ciągu następowały, w tym roku znowu fatalna aura stanęła łowom słonczym na przeszkodzie.

Najwięcej słonek było tu od 5-go do 10. kwietnia, a przez cały czas pobytu u nas, co wieczór wśród największego zimna ślicznie ciągnęły. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się widzieć podczas ciągu dwie słonki, wyprawiające miłosne widać harce ze sobą na piechotę a odzywały się przy tem w dziwny i zupełnie mi dotąd nieznany sposób.

W pierwszych dniach kwietnia, dano mi znać, że dzikie gęsi siedzą na oziminie. Wziąłem ze sobą Mausera i pojechałem się z niemi spotkać. Już z daleka bardzo mnie te ptaki (było ich pięć), swym wyglądem zaintrygowały, a podjechawszy je na jakich 300 kroków, przekonałem się już na pewno, że z jakimś innym, niezwykłym u nas gatunkiem gęsi dzikich mam do czynienia. Przedewszystkiem wydały mi się one mniejsze i o wiele ciemniejsze od zwykłej naszej g ę s i d z i k i e j (A n s e r c i n e r e u s) jak również od drugiej u nas w przelocie dość często spotykanej odmiany tejże, g ę s i p o s i e w n i c y, (A n s e r s e g e t u m).

Gdy wózek zatrzymałem, by strzału spróbować, ptaki zerwały się i usiadły na czarnej roli o jakich 500 kroków dalej. Wróciłem wtedy do domu po Zeisa, by przynajmniej przypatrzeć się dokładniej rzadkim gościom, jeżeli mi się nie uda szczęśliwie u celu pożądań umieścić kuli.

W kwadrans później podjechałem znów ptaki na metę 200 kroków, w chwili jednak gdy wózek zatrzymałem, znowu zerwały, tak że i przez Zeisa dokładnie im się przypatrzyć nie mogłem a one siadły znów na oziminie w tem samem miejscu, z którego się wpierw zerwały.

Czas był brzydki, pochmurny i śnieg z deszczem w twarz siekący uniemożliwiał nawet i przez szkła rozpoznanie gatunku na metę blizko 1000 kroków. Podjeżdżałem więc dalej a zjechawszy w zagłębienie, zeszkoczyłem z wózka próbując ptaki podejść. Gdy zdawało mi się według mego obliczenia, że ptaki są już niedaleko, wychyliłem się z wąwozu, którym je podchodziłem i wtedy na nieszczęście moje ujrzałem jak jakiś pies włóczęga, wynurzywszy się z pobliskich krzaków, gęsi spłoszył. Zerwały się w moją stronę, a za kilka sekund przelatywały mi na 20 kroków nad głową. Strzeliłem do jednej z nich, niestety kula musnęła ją tylko po skrzydle strącając z niego jedno jedyne piórko.

W nagrodę mego niepowodzenia poznałem je przynajmniej dokładnie i tembardziej mego pechu żałowałem.

Były to g ę s i b e r n i k l e, zwane także B e r n i k l e o b r ó ż k i, (Bernicla torquata, Ringelgans), ptaki u nas bardzo rzadko spotykane. Przygnać je mogła chyba burza z dalekiej północy. Łatwo je poznać po charakterystycznych plamach na obu stronach szyi, zlewających się ze sobą w białą, zdala widną obróżkę.

Ptaki pomknęły w kierunku południowo-wschodnim, gdzieś ku wielkim błotom naddniestrzańskim i więcej już o nich nie słyszałem.

Albert Mniszek.

Adres Redakcyi i Administracyi od 15-go maja b. r. ul. Mickiewicza l. 5. I. p.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

Poszukuje się terenów myśliwskich, w dużym kompleksie, o dobrym zwierzostanie, w pobliżu stacyi kolejowej, na conajmniej dziesięcioletni okres dzierżawny. Zgłoszenia z wyczerpującym opisem rewirów, rodzaju i ilości zwierzyny, mapą i oznaczeniem wysokości czynszu należy nadesłać do Redakcyi „Łowca" Lwów, ul. Słowackiego l. 18.

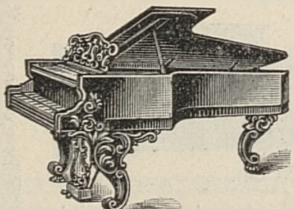
Wyżły czystej rasy Griffon (pieski po K. 50, suczki po K. 40) sprzeda z końcem marca Zarząd dóbr Ożydów.

Galicyjska Bażantarnia w dobrach **Sauka** ad Krzeszowice (koło Krakowa) **sprzedaje** żywe, zdrawe **bażanty,** prawdziwe mongolskie, krzyżowane, angielskie, królewskie, versikolory itd., najlepsze do hodowli, bo w tutejszym klimacie wyhodowane. Jaja do nasadzania po najtańszej cenie.

Żywe kuropatwy, Bażanty czeskie łowne, angielskie, obrożne królewskie. srebrne, złote, mongolskie i versicolor. Tinamous, kury jedwabiste, amerykańskie dzikie kury lęgowe i ich **100.000 jaj lęgowych** z gwarancyą 80% płodności, sprzedaje najtaniej **F. Horaček,** dostawca zwierzyny. **Martinitz** przy Starkenbach w Czechach.

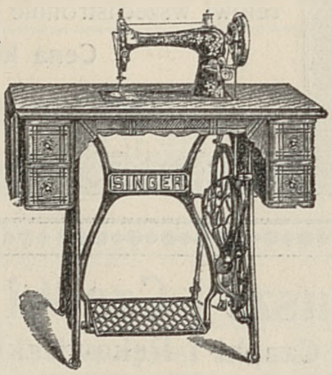
Wyżeł roczny, rasy niemieckiej ostrowłosy (Stichelhaar) wysokiej krwi, kasztanowaty nietresowany i niezepsuty, doskonały odważny pływak; również suka takiej samej rasy i maści w drugim polu ogromnie karna znakomita matka, jest do sprzedania M. Wojciechowski Czernichów pod Krakowem.

Jubiler
JAN JARZYNA
poleca **wyroby złote i srebrne.**
WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.
Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.



Skład i Wypożyczalnia
Fortepianów i Pianin
B. Połonieckiego, Lwów
(obok Księgarni Polskiej przy ulicy Akademickiej 2).
Sprzedaż na dogodnych warunkach.

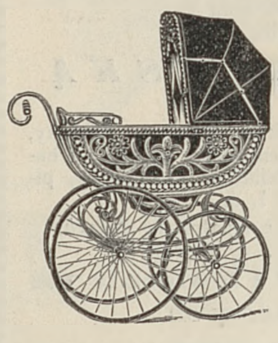
Maszyny do szycia i haftu
SINGERA
najpoprawniejszej konstrukcyi, najdokładniej uregulowane.
Na raty po 8 kor. miesięcznie lub za gotówkę 10 % taniej.
Nauka szycia i haftu bezpłatna.



CENNIKI NA KAŻDE ŻĄDANIE GRATIS I FRANCO.
Proszę o łaskawe zlecenia
z poważaniem
Singera Maszyny do szycia i haftu.
Władysław Kukawski
przedtem JAN LAURUK
SKŁAD MASZYN DO SZYCIA
Lwów, Pasaż Mikolascha.

MAGAZYN
Schayerów
we Lwowie, ulica Akademicka 5.
(naprzeciw hotelu George'a)
poleca na każdy sezon w wielkim wyborze
NOWOŚCI z KONFEKCYI dla DAM
Materye wełniane i jedwabne
na suknie i okrycia.
Chustki angielskie himalaya, pledy, bluzki, halki i t. p.
Płótna i stołowa bielizna
z pierwszorzędnych fabryk.
Kompletne wyprawy ślubne
sukień i bielizny.

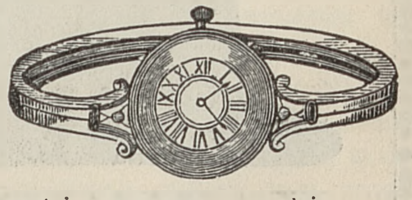
Fabryka wózków dla dzieci



wyrobów koszykarskich i bambusowych, poleca swe wyroby **taniej jak wszędzie.** **Olbrzymi wybór!**
Zabawki dla dzieci
wyrób krajowy.
A. KONIEWICZ
Lwów, ul. Batorego 12.
CENNIKI GRATIS I FRANCO.

JÓZEF KOMOROWSKI
ZEGARMISTRZ
Lwów, Pasaż Mikolascha.

Poleca zegarki tylko w najlepszych wyrobach genewskich. Zegary pendułowe francuskie, paryskie z bronzu, marmuru, z kandelabrami, ozdobne w najnowszych fasonach.



Budziki od 3 złr. i wyżej z gwarancyą sprzedaję.
Wszelkie naprawy przyjmuję, choćby najtrudniejsze, wykonując z całą umiejętnością, jako specjalista zegarmistrz.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**